NIE TAKIM TU PERUKI SPADAŁY

PRZY KWESTII: „TO MATKA BYŁA ZŁA, NIE OJCIEC" NIE MA MOŻLIWOŚCI, ŻEBYM ZA KAŻDYM RAZEM, NIE POMYŚLAŁA O SWOICH RODZICACH

z aktorką MAŁGORZATĄ HAJEWSKĄ-KRZYSZTOFIK *rozmawia* KATARZYNA SURMIAK-DOMAŃSKA

zdjęcia SZYMON SZCZEŚNIAK/LAF

Gdyby nie było aktorstwa, to byłoby co?

– Niewykluczone, że rolnictwo. Po podstawówce złożyłam papiery do Pszczyny do technikum rolniczego. Ale się nie dostałam. Nie spełniałam jakichś wymogów formalnych, chyba chodziło o to, że rodzina nie posiadała ziemi.

Kim by pani była po tym technikum?

– Może kwiaciarką? Lubię kwiaty. Jeszcze niedawno, kiedy mieszkałam na Kazimierzu, miałam pod oknem trochę ziemi, gdzie sadziłam różne roślinki. Cały parapet pełen był kwiatów. Odchodząc ze Starego Teatru, musiałam to służbowe mieszkanie zwolnić. Teraz wynajmuję z mamą mieszkanko na Krowodrzy. Na skrzyżowaniu ulic, na parterze, bo mama jest schorowaną osobą. Tutaj nic mi nie chce rosnąć. Takie beniaminki piękne miałam i drzewko szczęścia, wszystko padło. Za ciemno.

Gdzie pani trafiła zamiast do tego technikum?

– Do liceum ogólnokształcącego im. Prusa w Sosnowcu. Do klasy humanistycznej. Większość moich koleżanek poszła po niej na pedagogikę. Mnie też przez chwilę po głowie chodziła pedagogika. Myślałam również o archeologii. To było popularne marzenie w PRL-u, może chodziło o to, żeby wyjechać daleko stąd.

Ojciec pani był górnikiem.

– Niestety, nie takim efektownym, co zjeżdża pod ziemię. Pracował w kopalni, ale na górze. Przez pewien czas był też elektrykiem w teatrze w Katowicach. Chyba ciągnęło go w stronę sztuki. Gdy jeszcze leżałam w beciku, czytał mi „Pana Tadeusza", podobno wszyscy się pukali w głowę. Był bardzo przystojnym mężczyzną, miał nawet ksywkę Książę Monako, ale przede wszystkim chyba superniespełnionym facetem. Mama natomiast pracowała jako pielęgniarka. Była oddziałową na urologii, a babcia na tym samym oddziale salową. Do dziś szpitale kojarzą mi się z miłą atmosferą, z zapachem kawy i carmenów. Pielęgniarki takie zawsze opalone, złote łańcuszki na dekoltach. Lubię grać pielęgniarki.

Ale zostać pielęgniarką pani nie chciała?

– Eee, nie.

No to skąd to aktorstwo?

– Właśnie cały czas się zastanawiam. Bo to, że dziewczynka wykazuje chęć do grania w przedstawieniach szkolnych czy przedszkolnych, to nic szczególnego, prawda? Wszystkie to wykazują. Nigdy się nie załapałam na królewnę, za to zagrałam macochę i kota w butach. Zresztą w dojrzałym życiu role księżniczek też mnie omijały.

Moje ulubione pani role to: maltretowana psychicznie inwalidka, spragniona miłości pijaczka i pisarka umierająca na raka. Zagrała pani kiedyś amantkę?

– U Krzysia Warlikowskiego w „Burzy" zagrałam Mirandę. Postać, która kojarzy się, podkreślam – kojarzy się, z kimś pięknym i młodym, a przynajmniej młodym. Co ciekawe, byłam już po czterdziestce.

Kto pierwszy powiedział: „Małgosia, ty się nadajesz na scenę!"?

– Właśnie o to chodzi, że nikt. W liceum zapisałam się do klubu teatralnego, ale nawet tam nikt mi niczego nie szepnął. A ja granie traktowałam wyłącznie jako zabawę, czystą przyjemność, do głowy mi nie przyszło, że można z tego zrobić zawód. Z domu wyniosłam przekonanie, że praca to trud, mozół.

Jakim pani była dzieckiem?

– Na etapie podstawówki czułam się źle. Po pierwsze, urodziłam się z tak zwaną szpotawą nóżką. Nosiłam ją w łupkach, potem sprawiono mi buty ortopedyczne. Który wolisz kolor, dziewczynko, wstrętny szary czy wstrętny bordo? Masaże stóp. Taki był masażysta niewidomy, okropnie się go bałam. Strasznie się wycierpiałam przez te nogi. Po drugie, wydawało mi się, że jestem okropnie szpetna. Dzisiaj, jak patrzę na stare zdjęcia klasowe, to sama się sobie dziwię, prze- »

cież wcale nie jestem brzydsza od innych dzieci. Coś jednak musiało być na rzeczy, bo w klasie przezywali mnie Strzyga. Prawdopodobnie było we mnie coś, co na to pozwalało.

Poczucie własnej wartości dają najczęściej rodzice.

– Moi widocznie nie dawali. Może nie byli w stanie, może sami byli poranieni. Pierwsze dziecko jest pewnego rodzaju eksperymentem. Ja byłam dzieckiem surowo karanym, bitym, a już mój młodszy brat nie. Długo miałam wrażenie, że rodzice wolą go ode mnie. To nie była prawda. Dziś, gdy sama mam cztery córki, wiem, że rodzice też się uczą. Że przemoc nie musi oznaczać metody, często to bezradność.

Ale bitego dziecka raczej to nie pocieszy.

– To dziecko długo nie chciało ze mnie wyjść. Przez wiele lat miałam wobec swojego ojca wielki kanał smutku. Po jego śmierci zdecydowałam się nawet na ustawienia hellingerowskie, żeby przyjrzeć się naszej relacji. Pamiętam taką scenę: stoją reprezentanci mojej rodziny – ojciec, matka, ciocia, brat oraz osoba, która reprezentuje mnie. Ona w pewnym momencie podchodzi do szafy i zaczyna w nią uderzać dłonią. A mnie momentalnie trysnęły z oczu łzy. Dźwięk, który ona wydobyła z szafy, był dokładnie tym, co mnie rozwaliło trzydzieści parę lat wcześniej.

Co to takiego?

– Miałam może 13 lat, obierałam w kuchni ziemniaki, wyszłam na chwilę na klatkę schodową i zatrzasnęły mi się drzwi. Rozpacz. Przecież jak ojciec wróci z pracy, to mnie zabije: naczynia niepomyte, śmieci niewyrzucone, ziemniaki niegotowe. W panice lecę naprzeciwko do dziadków, ale oni nie mieli kluczy od nas, nie mogli mi pomóc. Akurat był u nich wujek, taki żartowniś. Stanął za szafą i żeby mnie nastraszyć, zaczął w nią stukać i wołać groźnie: „Małgosia, do domu!". Byłam przekonana, że to ojciec przyszedł po mnie. Prawie dostałam ataku padaczki, nie mogli mnie uspokoić. Wtedy uwierzyłam, że ze strachu można umrzeć.

Ale dlaczego ta kobieta zaczęła uderzać w szafę? Znała tę historię?

– Nie znała. Nie mam pojęcia, dlaczego ona postanowiła wykonać coś takiego. Ustawienia hellingerowskie to magia. Wtedy doszło we mnie do pewnego przekierowania. Z relacji ja – ojciec na relację ja – kobiety w mojej rodzinie. Uświadomiłam sobie, że one zawsze milczały. To było niesamowite zobaczyć wszystkie reprezentantki mojej rodziny, które stoją i nic nie mówią. Pomyślałam: „A gdzie była mama? Czy kiedykolwiek stanęła w mojej obronie?". Nigdy. Ani ona, ani nikt inny zresztą. Kiedyś ojciec połamał mi na plecach laskę góralską. Za ścianą była babcia, dziadek, wujek. Zajęli się mną dopiero, gdy skończył. Oglądali moje plecy i nie mogli wyjść z podziwu, że nie mam odbitych płuc. A ja siedziałam z odsłoniętymi plecami jak bohater. Patrzcie, złamał na niej laskę, a jej nic się nie stało!

Do kogo ma pani większy żal?

– Do tego, kto nie stanął w mojej obronie. Mama na pewno miała wobec ojca większe szanse. Ja jako dziecko nie miałam żadnych. Nie ma nic bardziej upokarzającego niż zaznanie przemocy fizycznej. To jest trauma na całe życie. Podczas ustawień podjęłam decyzję, że ja nie będę milczeć. Że będę starała się mówić na tyle, na ile potrafię. Uczę się rozmawiać o tym z córkami.

Jak pani sobie radziła z tą traumą jako dziecko?

– W dużym stopniu dzięki dobrym ludziom. Na przykład mnóstwo ciepła dawała mi pani od polskiego Irena Nowak. Święty człowiek, anielsko cierpliwy. Długo miałam problemy dysleksyjne. A ona spokojnie tłumaczyła: „Małgosiu, przecież ty masz taki dobry słuch, tak ładnie śpiewasz, dlaczego mówisz »liście«, a piszesz »lisicie«". Niby drobiazg, prawda? Ale dla mnie ogromnie cenny. W rodzinie bardzo ważną osobą była siostra babci, ciocia Felicja. Miała pół prawej ręki, taką kuleczkę fajną, taka się urodziła. Ona jedyna w naszej rodzinie miała odwagę robić to, co sprawiało jej przyjemność: rysowała, kochała książki. Z tego powodu traktowano ją trochę jak dziwoląga. Opowiadała mi niesamowite historie, o Indianach na przykład, dużo czytała mi na głos. Tak intensywnie przeżywała przygody książkowych bohaterów, jakby to było jej życie. A ja przeżywałam je razem z nią. „Rasmus i włóczęga", „Odarpi, syn Egigwy" – oni byli dla mnie jak rodzina.

Ciocia Felicja nie milczała?

– Czy uciekanie w świat bajek nie jest rodzajem milczenia? Sposobem, żeby nie mówić o własnym życiu? W tamtych czasach z jej inności musiało być jej okropnie ciężko. Kiedyś dostała propozycję, żeby malować na porcelanie w Ćmielowie, ale ostatecznie wylądowała w jakimś warzywniaku. Potem w obuwniczym. Za mąż nie wyszła. Ponoć była jakaś romantyczna historia miłosna w jej życiu, ale mama tego pana się nie zgodziła.

W PWST CZUŁAM SIĘ JAK *Calineczka, która zobaczyła, że jest świat poza ciemną norką kreta*

To ona namówiła panią, żeby zdawać do szkoły aktorskiej?

– Nie, skąd! Zdawałam przez chłopaka. W czwartej klasie wzięłam udział w konkursie recytatorskim. Przeszłam do etapu ogólnopolskiego, wyjechałam i tam poznałam ludzi, którzy wybierali się do PWST w Krakowie. Wśród nich był pewien młodzieniec, to on mnie namówił. I nagle się okazało, że przecież nie ma problemu. Rodzice mi kibicowali, koleżanka załatwiła mi spotkanie z jednym prawdziwym aktorem. Z mamą upiekłyśmy babeczki z nadzieniem. Z tacą babeczek pojechałam na pierwsze spotkanie z aktorem. Miał mnie przesłuchać.

I co?

– No i przesłuchał. Ale chyba nie uwierzył we mnie.

Babeczki zjadł, ale nie zachęcał?

– Musiał być bardzo zdziwiony, gdy się dowiedział, że się dostałam.

A ten chłopak?

– On się nie dostał. Trochę to się rzuciło na naszą znajomość, ale powiem szczerze: jak wskoczyłam do szkoły, to o nim zapomniałam. To było szczęście nie do opisania. Nagle dookoła mnie setka osób ześwirowanych na tym samym punkcie co ja. To była non stop euforia. Przez pierwszy rok poruszałam się w Krakowie tylko na jednej trasie: z akademika na Pomorskiej do PWST na Bohaterów Stalingradu. Szkoda mi było czasu, żeby iść gdzieś dalej. Nie mogłam się nacieszyć. Czułam się jak Calineczka, która zobaczyła, że istnieje świat poza ciemną norką kreta.

To kto pierwszy w panią uwierzył jako aktorkę?

– Chyba profesor Jerzy Stuhr, który obsadził mnie jako Królową w dyplomowym przedstawieniu „Iwona, księżniczka Burgunda". Duża, wspaniała rola i zarazem dowód silnej wiary profesora we mnie, bo kiedy mi ją zaproponował na trzecim roku, wiedział, że jestem »

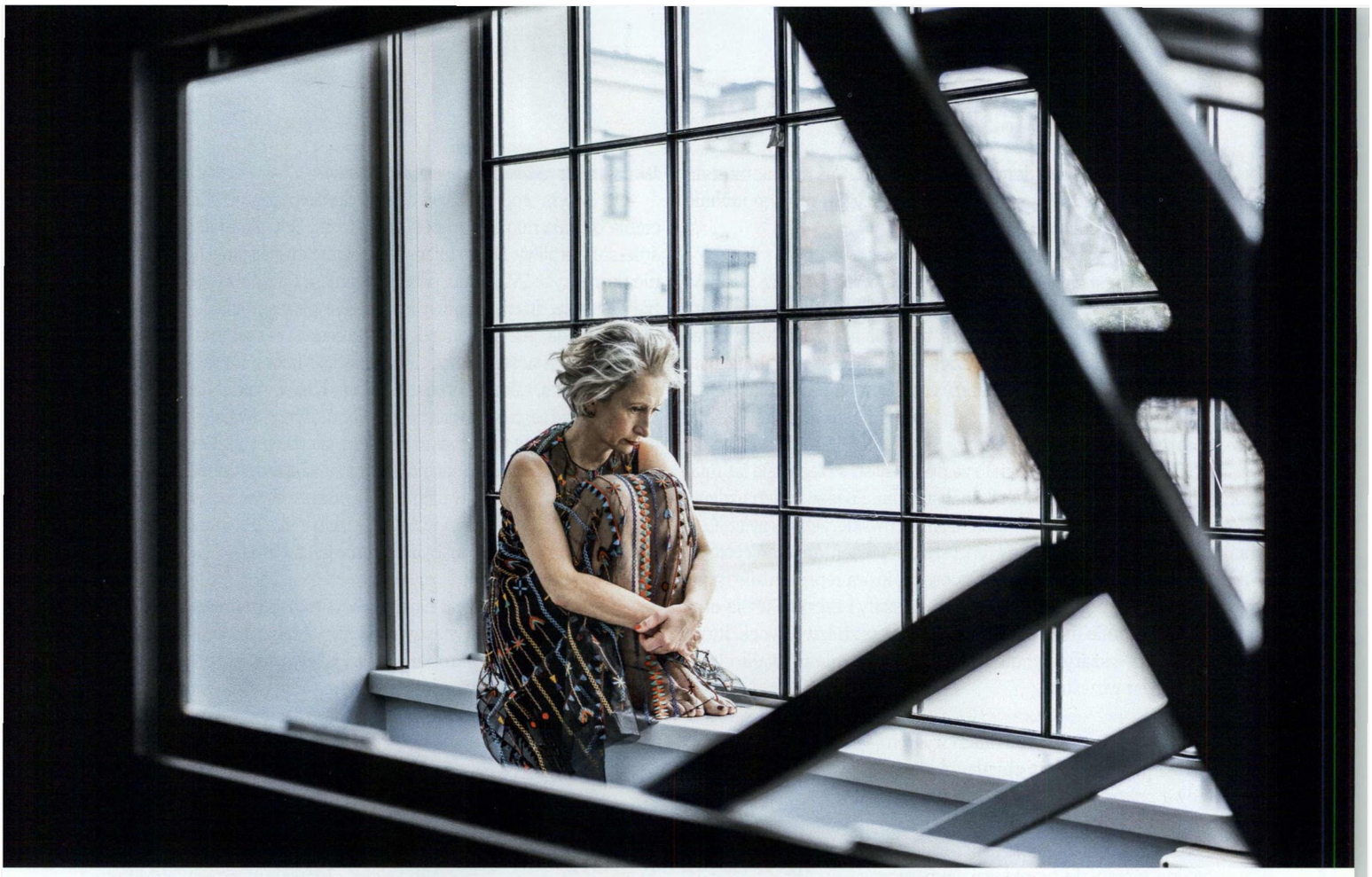

w ciąży. Dzięki Królowej dostałam od razu po szkole angaż do Starego. Pamiętam, jak pan Stuhr mówi: „Pani Hajewska, pani idzie na rozmowę do dyrektora Radwana". Nie wypada się tak cieszyć przy wszystkich, ale ledwo się powstrzymałam, żeby nie zacząć skakać z radości. Tylko że znowu miałam kłopot.

Małe dziecko

– Gorzej! Okazało się, że znowu jestem w ciąży. I teraz jak to powiedzieć? Przed podpisaniem umowy? Po podpisaniu umowy? W ogóle nie mówić? Szczęśliwie ta rozmowa z dyrektorem ciągle się jakoś odkładała i odkładała. A potem już było wszystko widać i nie trzeba było nic mówić.

Jak było w Starym?

– Na początku ciężka sprawa. Poznałam wszystkie boczne korytarze w teatrze. Moim głównym celem było tak chodzić, żeby nie wejść na nikogo. Wszystkich się bałam, bo to były takie wspaniałe istoty. Tylko „dzień dobry" i zaraz w boczek. Oni budowali dystans. Kiedyś nie dość głośno powiedziałam „dzień dobry" jednej wielkiej aktorce i zostałam zdzielona w głowę torebką.

Słucham?

– A tak. Ja byłam pewna, że powiedziałam, a ona, że nie, że wam młodym się wydaje, że wam wszystko wolno, i bach! Całą noc po tym nie spałam, tak się zamartwiałam, co to teraz będzie. Na drugi dzień poszłam ją jeszcze raz przepraszać. Ale ona już o niczym nie pamiętała. Straszna hierarchia panowała tam wtedy. Ja w Starym bałam się również garderobianych i fryzjerek. Zwłaszcza fryzjerek! Kiedyś spadła mi na scenie peruka, w „Jak wam się podoba". Gram Rozalindę, zrzucam kapelusz, no i, niestety, czuję, że razem z kapeluszem leci peruka. Nagle staję przed widownią z obandażowaną głową. Cała w histerii lecę do garderoby, a pani fryzjerka do mnie z wyższością: „Tu nie taaakim peruki spadały".

KIEDYŚ OJCIEC POŁAMAŁ MI NA PLECACH LASKĘ.

Za ścianą był wujek, babcia, dziadek

Jakie to uczucie, jak spadnie peruka na scenie?

– To jest trochę tak, jak ludzie opowiadają o wypadkach. Te sekundy przeżywa się jakby w innej rozdzielczości. Miałam wrażenie, że widzę z bliska wszystkie twarze, każdego widza. Byłam przekonana, że zaczną się śmiać. Coś w duszy mi nawet mówiło: śmiejcie się, śmiejcie się. A tu nic, zero. Grobowa cisza. Koszmar.

Ale to nie był jedyny raz, kiedy mi peruka spadła! Innym razem mój mąż jedzie do teatru odebrać moją pensję w kasie i słyszy: „Ale przecież pani Hajewska już wzięła pieniądze za ten miesiąc". Szok. Co się okazało? My byliśmy tacy beztroscy, że nie zauważyliśmy, że przeputaliśmy kasę za dwa miesiące. A już były z nami Katarzyna i Martyna. No i przez cały następny miesiąc jedliśmy wyłącznie kaszę. Grubą i drobną. Mąż tłumaczył dziewczynkom, że gruba kasza to jest mięso, a ta drobna to właśnie kasza kasza.

Ale jak to się ma do peruki?

– No i nagle w środku tego kaszowego miesiąca, to piękna historia, dzwoni telefon. Kręcą film o okupacji, potrzebują aktorki do

sceny z kobietą, której zgolono głowę za zadawanie się z Niemcem. Ale trzeba dać się ogolić przed kamerą. Czy ja to zrobię? Oczywiście! Płacą spore pieniądze, więc nie zastanawiam się nawet. Jadę na plan do Warszawy, zostaję ogolona, wracam do Krakowa. Gram w Ludowym tę naszą „Iwonę" w reżyserii Stuhra. Ja Królową, on Króla. No i ponieważ byłam łysa, grałam w peruce. W jednej ze scen Królowa ma na głowie ręcznik. I ten ręcznik mi spadł, oczywiście razem z peruką. Tylko że tym razem szok dla publiczności musiał być większy, bo zobaczyli autentycznie łysą czaszkę.

I znowu nikt się nie zaśmiał?

– Znowu. Ale to wydarzenie wspominam mniej traumatycznie, bo nie byłam sama. Stuhr, genialny, pomógł mi wybrnąć. W tekście Król mówi do Królowej: „I umyj się, bo wyglądasz jak wariatka", a on powiedział: „I włóż te włosy, bo wyglądasz jak wariatka".

Fajnie.

– Fajnie. Ale potem już nie było fajnie. Kiedy pokazałam się w Starym bez włosów, dostałam naganę. Zawisła na tablicy ogłoszeń i jeszcze mi trzynastkę ciupnęli. No, ale i tak się opłaciło. Przy okazji nauczyłam się, żeby perukę zawsze przyklejać do głowy taśmą dwustronną.

W filmie „33 sceny z życia" Szumowskiej, gdzie umiera pani na raka, też widać, że ma pani ogoloną głowę, a nie charakteryzację.

– Powiem więcej. Po „33 scenach" dość długo pozwalałam sobie na pobycie bez włosów. A po dwóch latach coś mnie podkusiło i znowu obcięłam się na zero.

Co jest kuszącego w byciu łysą?

– Nie chodzi o bycie kompletnie łysą. Ja uwielbiam uczucie, kiedy się ma na głowie 12, 13 milimetrów. Kiedy wiatr buszuje w króciutkich włoskach, masuje skórę. To najlepsza terapia relaksująca na świecie.

A jak buszuje w długich, to nie jest przyjemnie?

– W życiu! Musi być jeżyk. Jest tylko jedna rzecz, która się z tym może równać. To wejście w ciąży do morza. Pamiętam tę chwilę, gdy weszłam w zaawansowanej ciąży z Marianną, czyli z córką numer trzy, do Bałtyku. I to było autentyczne zrzucenie ciężaru. Zaczynam pływać i w ogóle nie czuję brzucha. To jedna z piękniejszych rzeczy, jakie mi się w życiu zdarzyły.

A jak została pani aktorką Krystiana Lupy?

– Zanim był Lupa, był Waldek Zawodziński. On studiował reżyserię, świetnie się dogadywaliśmy. Waldek miał zajęcia z Lupą, a ja grałam w scenach, które dla niego przygotowywał. Ale pierwszy raz zagrałam u Lupy już po szkole, Fienię w „Braciach Karamazow". Krystian był dla mnie kimś bardzo ważnym. Tak sobie wyobrażam autorytet. Że jak człowiek nie wie czegoś albo czegoś potrzebuje, to t am czeka pomoc. Chciałabym mieć ze swoim ojcem taki kontakt, jaki miałam z Krystianem.

Kiedy zobaczyłam panią i Andrzeja Hudziaka w jego „Kalkwerku", nie mogłam uwierzyć, że coś takiego jest możliwe w teatrze. Hudziak jako opętany manią twórczą Konrad, pani – ofiara jego eksperymentów, oboje weszliście w te postaci do tego stopnia, że trudno mi było wyobrazić sobie was poza nimi. Wiele osób uważa, że Konradowa to pani najważniejsza rola. Pani również?

– Im dłużej żyję, tym bardziej ją doceniam. Na początku nie miałam takiego poczucia. Ja byłam przede wszystkim za młoda na Konradową, miałam dwadzieścia parę lat. Dla mnie najwybitniejszy w tym przedstawieniu był Andrzej. To jego Konrad jest osią, on sprawia, że ten spektakl jest tak wielowymiarowy.

Ale na Kaliskich Spotkaniach Teatralnych Grand Prix dostaliście oboje.

– To było sześć lat po premierze. I dopiero zaczęło do mnie docierać, że Konradowa to też ważna postać. Na początku wpatrywałam się w tekst Bernharda jak w egipskie hieroglify. Jak ja mam to zagrać, skoro nie wiem, o co w tym chodzi? Wreszcie dotarłam do snu Konrada. To było jak wybuch. Wtedy książka się przede mną otworzyła.

Długo poszukiwałam sposobu, w jaki wołam Konrada. To „Konraaad!", to był klucz. W tym musiała się wyrazić złożoność naszego związku. Że z jednej strony bardzo go potrzebuję, coś do niego czuję, a z drugiej – bardzo go nie lubię. Kiedy po latach wznowiliśmy spektakl i próbowałam na nowo wejść w rolę, wystarczyło odtworzyć w sobie to wołanie.

Z Andrzejem Hudziakiem kilkakrotnie zagrała pani później małżeństwo. Postrzegano was nawet jako parę.

– To było bardzo śmieszne, bo prawda jest taka, że znaliśmy się prawie wyłącznie z pracy. Trudno jest mi powiedzieć o nim coś prywatnego poza tym, że bardzo dobrze się z nim czułam. Lubiłam na przykład słuchać, jak opowiadał o swoim nurkowaniu. Fascynowała go przyroda. Jak byliśmy z teatrem za granicą i zobaczył nieznaną roślinę, zaraz wkładał sobie w chusteczkę nasionka albo szczepkę w słoiczek. U niego w domu pierwszy raz w życiu widziałam w akwarium patyczaki. Filmy Davida Attenborough uwielbiam dzięki Andrzejowi. A przy robocie z nim nie trzeba było dużo gadać. I to też bardzo ceniłam. Nie tylko słowa są do komunikowania.

Jak pani pracuje nad rolą? Próbuje pani na głos czy w środku?

– Wyłącznie w środku. Jadę sobie na rowerze albo układam sudoku w komórce i rozmyślam. I nagle to przychodzi.

A jeśli nie chce przyjść?

– Niedawno miałam tak przed moim serialowym debiutem w „Pod powierzchnią". Gdy się okazało, że mam grać komisarz policji, całą noc nie spałam. Rano poleciałam do najbliższego komisariatu. Powiedziałam pani w recepcji, że jestem aktorką, że mam grać policjantkę i w związku z tym muszę porozmawiać z jakimś policjantem.

I wpuścili?

– A skąd! Recepcjonistka mnie wyśmiała. Powiedziała, że to by było jak rozmawianie ze ślepym o kolorach. Dopiero po pewnym czasie ktoś oficjalnie załatwił mi konsultacje z prawdziwą panią komisarz. I ona rzeczywiście bardzo mi pomogła. Uważam, że nie ma nic złego w szukaniu rady. Raz udałam się nawet w tym celu do psychoterapeuty. To było przy pierwszej roli u Krzysia Warlikowskiego, Agawe w „Bachantkach". Robię, robię i nagle stop, nie wiem, co dalej. Zapisuję się do terapeuty, opowiadam mu fabułę, tłumaczę relacje między postaciami, mówię, że wchodzę na scenę, niosąc drzewo, i tutaj pustka, co dalej z nim zrobić? Terapeuta pomyślał, pomyślał i powiedział bardzo poważnie: „Pani nie może dać sobie odebrać tego drzewa. Pani nie może go odstawić!". To było jak prawdziwa uwaga reżyserska.

Dwa lata temu porzuciła pani ostatecznie Stary Teatr dla Krzysztofa Warlikowskiego i warszawskiego Teatru Nowego. Dlaczego?

– Przyszedł czas na zmianę. Krzyśka poznałam w 2000 roku, kiedy zobaczyłam jego „Hamleta", jeszcze w Rozmaitościach. Zaświtało mi, że to jest świat, w którym chciałabym się znaleźć. A potem Krzysiek zaproponował mi rolę Agawe. I odtąd lawirowałam między repertuarami dwóch teatrów, aż w końcu logistyka mnie pokonała. Trzeba było wybrać. Tak więc od dwóch lat jestem na etacie w Nowym, ale mieszkam nadal w Krakowie. Ze względu na mamę, no i na szkołę »

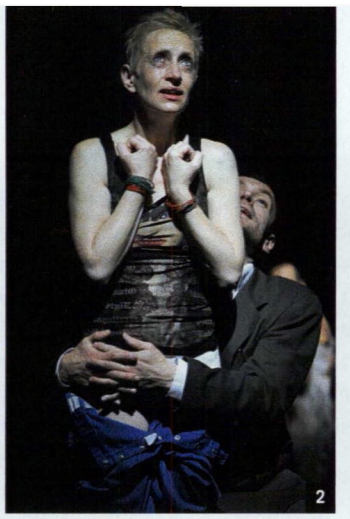

1. Z Iwoną Bielską i Krzysztofem Globiszem w spektaklu „Zaratustra" Krzysztofa Lupy, Teatr Stary w Krakowie, 2005 r. **2.** W „Oczyszczonych" w reżyserii Krzysztofa Warlikowskiego, Teatr Współczesny we Wrocławiu, 2009 r. **3.** I ponownie u Warlikowskiego, w „(A)polonii", w Nowym Teatrze w Warszawie, 2009 r.

teatralną, gdzie uczę. Trzy moje córki nadal mieszkają w Krakowie. Czwarta studiuje w Warszawie.

Zastanawiam się, czy potrafiłabym wymienić jakąś czynną aktorkę, poza kimś w rodzaju Angeliny Jolie, która ma czworo dzieci.

– Wokół mnie wszystkie mają najwyżej dwójkę. Widzi pani, ja po prostu nie jestem mistrzem planowania. Tak się stało, i już. Na podobnej zasadzie poznałam mojego męża. Na trzecim roku wynajęłam z koleżanką mieszkanie, bo już dość miałyśmy akademika, i ona opowiedziała mi o chłopaku, który jej się podobał. To był właśnie on, student religioznawstwa. Któregoś dnia odwiedził nas razem ze swoim przyjacielem. Przyszedł i został.

Zdaje się, że nigdy nie brała pani dłuższych urlopów macierzyńskich?

– Miałam dużo szczęścia, że każdy poród wypadał w dobrym momencie. Martyna, czyli dziecko numer dwa, urodziła się tak jak Katarzyna – pod koniec lata. Gdyby to wypadło w środku sezonu, na pewno byłoby gorzej. Kolejne szczęście: córki numer trzy i cztery, czyli Marianna i Kalina, trafiły w podstawówce na znakomite wychowawczynie, panią Maślankę i panią Borutę. To były nauczycielki z powołania, które kochają to, co robią, kochają dzieci, komunikują się z rodzicami i są dla nich prawdziwym wsparciem. Wiedziałam, że córki w szkole są w przyjaznym i bezpiecznym miejscu. To wielkie psychiczne odciążenie, człowiek może spokojnie wyjechać, skupić się na pracy. Wtedy może mu się udać.

Kto zajmował się dziećmi w domu?

– Mąż i ja. Dzisiaj, niestety, już były mąż. Tworzyliśmy bardzo partnerski związek. Mąż wziął rok urlopu na studiach, żeby zająć się Katarzyną. Nie lubiliśmy się rozstawać, świetnie kombinowaliśmy, byliśmy mistrzami logistyki. Jak ja sobie pomyślę, że my przez pięć lat mieszkaliśmy w czwórkę na 21 metrach! Jak miałam premierę i chcieliśmy wyjść oboje bez dzieci, to przyjeżdżali moi rodzice. Oni spali na łóżku, a my czworo na podłodze i wtedy całe mieszkanie stawało się posłaniem. Rano wszystko się demontowało. Rodzinne śniadanie przy biurku, bo stół już się nie mieścił. A jakie imprezy się tam odbywały! Razem uczyliśmy się być rodzicami, a przy okazji sobie robiliśmy drugie dzieciństwo. Świat bajek, produkcja kostiumów... Już dziesięć lat nie jesteśmy razem. Rozstaliśmy się kiedy Kalinka miała dziewięć lat. Ale do dzisiaj mamy dobry kontakt, kumplujemy się.

NAJWAŻNIEJSZE ŻEBY WIDZ MI UWIERZYŁ. *Nie muszę się mu podobać*

Dlaczego tak fajny związek się rozpadł?

– Przez alkohol. Na pewno to był powód numer jeden. Alkohol był napędzaczem, rozluźniaczem, wyzwalaczem. Wydłużał dzień, wydłużał noc, intensyfikował rozmowy, przeżycia. Najpierw nas łączył, a w końcu rozdzielił. Taka jest moja wersja. Mnie alkohol o mało nie zniszczył życia. Doszłam do stanu, gdy czułam się jak na filmach katastroficznych, kiedy podczas trzęsienia ziemi walą się domy. Coś takiego działo się ze mną.

Kto pani pomógł?

– Mój chłopak.

Znowu chłopak. Nie mąż?

– No, nie mąż. Piotrek przeszedł podobną drogę, wcześniej ode mnie. Uratował mi życie. Mówi mi, że jakbym chciała się napić, to bez względu na porę mam do niego od razu zadzwonić i mu to po prostu powiedzieć. A potem sobie mogę pić. Raz to zrobiłam. Kiedyś za granicą dostałam wiadomość, że mama jest w szpitalu. A tu Francja, wino wszędzie, dzwonię: „Piotrek, czuję, że muszę się napić". A on: „No, ale co zmienisz? Jak pomożesz mamie tym, że się napijesz? Jeśli krzesło jest połamane, to nie poskleja się od tego, że się napijesz, prawda?". Tak powiedział, i to pomogło.

Pstryk, i już?

– Bo trzeba sobie wyobrazić leżące krzesło i skoncentrować się na tym, co z nim zrobić. Na mnie to ciągle silnie działa. Choć pewnie jeszcze silniej to zapewnienie Piotrka, że zawsze mogę zadzwonić.

Czasem trzeba sobie powiedzieć: już nigdy nie wypiję ani kropli, ale czasem wystarczy: będę pić mniej.

– Dobrze wiedziałam, która opcja jest moja. Jestem w prostej linii uzależniona, bo mój tata był alkoholikiem. O tym w rodzinie również się milczało. Mojego picia też jakby nikt nie widział. Czasem chciałam, żeby ktoś zaczął tupać, wrzeszczeć na mnie, zabronił... No, ale to zrobił dopiero Piotr. Wiele osób, które dowiadują się, że miałam problem z alkoholem, dziwi się: „Ty miałaś z tym problem?".

W pracy nie było obsuwy?

– W pracy nie. Bo ja nie piłam w pracy, tylko po pracy. Bałam się, że jak nie będę miała tego źródła wyobraźni, to nie będę umiała stworzyć roli. Że ktoś mi wyjmie wtyczkę z kontaktu. Teraz rozmawiam o tym otwarcie ze studentami. W naszym środowisku panuje ogromne przyzwolenie na picie. Mówi się, że alkohol aktora rozluźnia. »

Pytam studentów: „A chciałbyś lecieć samolotem, którego pilot musi sobie golnąć, żeby się rozluźnić? To nie rób tego. Bo jest jeszcze partner na scenie. On też musi się czuć przy tobie bezpieczny".

Druga moja ulubiona pani rola to Dupa w „Krumie" Warlikowskiego. Kobieta zawsze na rauszu, z wierzchu ostra: lateks, sado-maso, a w środku miękka, bezbronna. Kiedy mówi: „Piękna nie jestem. Ale za to wesoła", to robi się nam okropnie smutno. Jest tak przekonująca, że aż trudno nie zapytać, czy nie czerpała pani tutaj z własnych doświadczeń.

– Czerpanie z własnych doświadczeń zawsze jest w aktorstwie mile widziane. Dupa długo nie chciała mi się wykluć. Któregoś dnia, chyba w Strasburgu, zobaczyłam na ulicy kobietę, która mogłaby być nią. Ubrana była w czarną skórę, a wokół jej ciała wił się wytatuowany wąż. Zaczynał się na nodze i wychodził przy szyi. To był trop. Powiedziałam o niej Krzyśkowi, a potem Małgosia Szczęśniak znalazła fotografię w podobnym klimacie w albumie Nan Goldin. Sukienka Dupy jest uszyta dokładnie według zdjęcia Nan Goldin.

To tylko kostium, a środek?

– Czasem trzeba mieć zewnętrze, żeby dojść do środka. To mi Dupę umundurowało, już wiedziałam, w jakich wojskach służy. Ale co było najciekawsze w tej kobiecie z wężem... Szła z córeczką. Ta dziewczynka ją zdradzała, bo zupełnie nie pasowała do agresywnego wizerunku matki. A potem zaczęłam dodawać do Dupy coś od siebie. Wymyśliliśmy z reżyserem, że kiedy umawia się z facetem, przychodzi na bani. A ja wiem, co to znaczy kobieta pijana. I wiem, co to znaczy kobieta, która ma poczucie winy, że była pijana, albo że nagadała coś, będąc pijana. Minęło już 11 lat, jak nie piję. Ale pamiętam.

Jedenaście lat ani kropli?

– Ani kropli. Ale raz miałam niesamowitą przygodę, opowiem. Leżę w takim stanie półsnu, kiedy człowiek nie wie, po której jest stronie. I nagle słyszę głos: „A może koniaczku?". Tutaj znowu dygresja. Ja mam od zawsze bardzo niskie ciśnienie, 90 na 60. Kiedyś, gdy miałam 19 lat, pewien doktor zapytał mnie: „A dlaczego pani nie pije koniaczku? To tak pięknie podnosi ciśnienie". I wtedy w tym półśnie, to już było po kilku ładnych latach niepicia, słyszę: „A może koniaczku?". I taka myśl mi przychodzi: „Dlaczego nie?". W końcu mam bardzo miłe wspomnienia z koniaczkiem. To rozchodzenie się tego ciepła, takie to jest wyrafinowane... „No, ale co by Piotrek na to powiedział?" – odpowiadam temu głosowi. A głos na to: „No to musimy poczekać, aż Piotruś umrze".

To była podświadomość?

– Raczej diabeł. Choć trochę też tamten pan doktor.

Ale pan Piotr młody, mam nadzieję.

– W moim wieku. I czasem się zastanawiam, o co tu chodzi tak naprawdę. Czy Piotr jest jedyną osobą, która mnie chroni? Że on to moje magiczne zaklęcie? Że póki jest, to ja się nie napiję? Mam nadzieję, że nie. Że to ja sama jestem silna.

Nietrudno jest chyba w pani zawodzie wypaść z torów z podobnym życiorysem. Pani nie wypadła.

– Myśli pani, że nie wypadłam? No, to dobrze... Bo ja sama właściwie nie wiem, jak to jest. W każdym razie pomalutku to idzie.

Myśli pani, że mogłoby szybciej?

– No, jak patrzę na innych, to tak. Mogłabym robić film za filmem, wychodzić z jednej roli w teatrze i zaraz wchodzić w drugą. Ja nie gram głównych ról. Nigdy nie grałam. Kalinka czasem pyta: „Mamo, dlaczego ty nie dostaniesz jakiejś większej roli?". Odpowiadam: „Nie wiem, Kalina. Nie wiem".

Może ma to związek z tym, co kiedyś napisała Małgorzata Wach w „Zwierciadle": „Hajewska-Krzysztofik nie ma w sobie pokusy podobania się widzom, budzenia w nich sympatii"?

– Dla mnie najważniejsze jest to, żeby widz mi uwierzył. Nie muszę się mu podobać. Chcę być z krwi i kości.

A co z pani traumą z dzieciństwa? Udało się ją zostawić za sobą?

– Nie wiem, czy do końca, ale na pewno myślę o tym, co było, coraz mniej. Koncentruję się na tym, co jest, co będzie. Najważniejsze w pozbywaniu się traumy jest to, żeby chcieć się jej pozbyć. Znam ludzi, nawet bardzo młodych, w których jest jakaś zgoda na niesienie traumy, na pozostanie w niej. To mnie przeraża. W moim ulubionym serialu „Olive Kitteridge" jest taka fantastyczna scena, gdy syn Olive zaczyna przepracowywać z żoną ich wzajemne relacje. A my rozumiemy, że to staje się absurdalne. Trzeba kiedyś zacząć żyć na własny rachunek. Nie można się ciągle cofać i zaglądać w przeszłość. Ja nauczyłam się czerpać pozytywną energię ze wszystkiego, z czego się da. Wystarczy po prostu szerzej otworzyć oczy.

CZERPIĘ POZYTYWNĄ ENERGIĘ *ze wszystkiego. Wystarczy szerzej otworzyć oczy*

Czy aktorstwo też może być rodzajem terapii?

– Jest – czy się tego chce, czy nie. Weźmy choćby „Rodzeństwo" Lupy według Bernharda, które gramy w Starym od 24 lat. W sztuce dwie siostry witają powracającego z zakładu dla obłąkanych brata. Cała trójka siada do stołu, podejmują próbę porozumienia się, dotykają bolesnych spraw z przeszłości. W pewnym momencie Piotrek Skiba wygłasza kwestię: „To matka była zła, nie ojciec". Zagraliśmy to ze 170 razy i nie ma możliwości, żebym za każdym razem, gdy on to mówi, nie pomyślała o swoich rodzicach. Tak było, kiedy zaczynaliśmy i mój ojciec jeszcze żył. I tak samo jest teraz, 19 lat po jego śmierci. Ale ostatnio stało się coś naprawdę niesamowitego. Ja w pewnym momencie mówię do Dene, czyli do Agnieszki Mandat: „Pojechać teraz do Rzymu". Mówię to z wyrzutem, że wyjadę, bo przecież ona mnie już nie potrzebuje, przecież to ona jest dla naszego brata ważniejsza, i tak dalej... I teraz, w styczniu, podczas pierwszego spektaklu wznowieniowego po rocznej przerwie, wypowiadając ten tekst, nagle, jak nie zacznę płakać!

Coś takiego jak kiedyś na ustawieniach?

– Tak jakby. Nikt się pewnie nie zorientował, że ten szloch nie był zamierzony. 170 razy mówiłam to zdanie i nigdy serce nie podpowiedziało mi takiej reakcji. A teraz rozkleiłam się na scenie zupełnie prywatnie, jakbym rozczuliła się nad własnym losem. Kompletne szaleństwo.

Oczyszczające?

– Jeszcze nie wiem. To dowód na to, że rola cały czas pracuje w aktorze i sięga coraz głębiej. Krystianowi to się spodobało. Powiedział, żeby zostawić. ●

ZDJĘCIA SZYMON SZCZEŚNIAK, STYLIZACJA JANEK KRYSZCZAK/ART FACE, MAKIJAŻ MAGDA WIŃSKA/ART FACE, WŁOSY ADAM SZARO, PRODUKCJA MAŁGORZATA SYDORCZYK
1.GARNITUR - STELLA MCCARTNEY/VITKAC.COM, BUTY WŁASNOŚĆ BOHATERKI, 2/3. SUKIENKA-RED VALENTINO/VITKAC.COM